Rok 1894. We Lwowie Poniedziałek dnia 27, Sierpnia. Nr. 32.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO”

pod redakcją *Stanisława Rossowskiego.*

Ach, to życie...

Ach to życie nielitosne
Ścina lodem serca żary,
Z jasnych niebios w przepaść strąca,
W proch rozwiewa słodkie czary
I cudowną marzeń przędzę
Tak okrutnie codzień targa...
Cóż dziwnego, że na usta
Ciśnie się bolesna skarga!

Kto wsłuchany w pieśni raju,
Drogie w duszy pieszcząc echo,
Bratniej dłoni, uczuć skarbu
Pod bliźniego szukał strzechą,
I przez pryzmat młodej wiary
Szlachetnymi widział ludzi —
Zamiast kwiatów znalazł chwasty,
Bo tak życie zachwyt studzi.

Kto świat cenił jak olbrzyma
Z iskrą Bożą ponad czołem,
I wielkości snem kołysan,
Czuł się ziemi tej aniołem —
Mgłę urojeń z chorych oczu
Wnet mu trzeźwe prądy starły:
Życie — tylko śmieszna „farsa“,
A z olbrzymów ludzi — karły!
Prawda, świętość, ideały,
To utopje zacofańców.
Fałsz i przemoc rządzą nami
Do ostatnich świata krańców.

Ach, więc nie dziw, że bolesnym,
Gorżkim śmiechem zadrży warga,
Zą wypłynie z ust szyderstwo,
Lub krwawiąca serce skarga —
Bo to życie nielitośne
Rwie cudowną złudzeń przędzę
I z niebiosów jasnych strąca
W nieskończoną ziemi nędzę.

MLA.

Dr. Gałęzowski w Persji.

— Profesorze, profesorze! dwa słowa, czy nie znalazłby profesor chwili wolnej, by opowiedzieć mi coś o podróży swej do Persji?

— Najchętniej, możemy kiedyś o tem pomówić.

— Kiedyś nie istnieje w mym kalendarzu. Proszę o dzień i godzinę.

— Niech będzie jutro, ale skoro panu tak pilno przyjąć pan musisz jeden warunek.

— Przyjęty z góry.

— Przyjdź pan do mnie na obiad. Wśród dnia nie mam czasu, zajęty chorymi to w klinice, to w domu od rana do ósmej wieczór. Po obiedzie lepiej się opowiada, przypuszczam, że i lepiej słucha. Do widzenia więc jutro.

I prof. Gałęzowski zniknął na schodach, wiodących do jego kliniki przy ul. Dauphine w Paryżu i na stopniach dzwoniły już tylko żwawo jego kroki, jakby po parę schodów przeskakiwał na raz. Pośpiech ten nie dziwił mię zupełnie: przypadek zrządził, że spotkałem go w chwili, gdy wysiadł z powozu, by po 4-miesięcznej nieobecności objąć znów osobiście kierownictwo swej kliniki, w której jak rok długi, cisną się co dnia setki chorych po bezpłatną poradę, a zastępy ich zwiększone są jeszcze obecnie tymi, co czekali powrotu słynnego okulisty.

Zresztą wystarczy rzucić okiem na dra Gałęzowskiego, by stracić ochotę do zajmowania mu czasu po nad nieodzowną potrzebę. Niski, silny, krępy, z twarzą energiczną, wzrokiem przenikliwym, czerstwy i rzutki; włosy czarne, w brodzie tylko gdzieniegdzie włos jakiś siwy. Wymowa krótka, jędrna, zwięzła, jakby obliczona, by powiedzieć jak najwięcej z najmniejszą stratą czasu. Prof Gałęzowski przedstawia typ człowieka niespożytej energji i pracy. wiedzącego z doświadczenia, jak wyzyskać można każdą chwilę dla siebie, by dojść, gdzie dojść się zamierza — i dla innych, tych, co korzystać chcą z jego wiedzy. Nawet postarzeć się nie miał czasu. Ubrany ze spokojną elegancją człowieka dobrego towarzystwa, na czarnym stroju odbija tylko żywo czerwona rozetka oficera Legji.

Nazajutrz około ósmej, zdążałem ku jego mieszkaniu. Dzielnica, ciągnąca się od Madelaine po lasek Bulońskі, między parkiem Monceau, pałacem Elizejskim, bulwarem Malesherbes i łukiem tryumfalnym, jest najświetniejszą częścią no-

wego Paryża. Niema tu ruchu i zgiełku wielkich bulwarów, niema sklepów, hotelów i kawiarni; ulice szerokie, ciche; platanowemi alejami przemykają bez hałasu powozy, zmierzające ku Elizejskim polom; z uchylonych wchodowych bram wyglądają ogolone twarze służby; jeden przy drugim stoją tu tak zw. hotele (u nas powiedzianoby pałace), siedziby najzamożniejszych mieszkańców Paryża. W tej to dzielnicy, przy bulwarze Hausmana, pod Nr. 103, znajduje się hotel prof. Gałęzowskiego, patrzący 6 wielkiemi oknami na ulicę z 4 piętrowej fasady z ciosowego kamienia. Całe urządzenie, sień, schody, służba zdradzają natychmiast, że dom utrzymany jest na stopie pańskiej; na drugiem piętrze znajdują się apartamenty, w których pani Gałęzowska podejmuje zimą wielki świat paryski na świetnych swoich przyjęciach, po których opis odsyłam szanownego czytelnika do „Figara". Salony obszerne, umeblowane gustownie, powiedzmy wprost z wytwornym zbytkiem, ozdobione dziełami sztuki: obrazy, bronzy i tak dalej zatrzymują wszędzie oko. Na jednej ścianie piękny portret gospodarza domu.

— To dzieło hrabiego Mniszcha — objaśnia mnie pan Gałęzowski — a czyś pan zauważył portret mój drugi? Może mię pan nie poznał, bom znacznie na nim młodszy; to nader miła dla mnie pamiątka pędzla malarza ślepego. Tak jest, ślepego, przynajmniej nic nię widział, gdy zgłosił się do mnie do kliniki; malarz hiszpański Pareha. Na pamiątkę, że kuracja wypadła nieźle namalował mój portret.

— A ta rzeźba?

— To także pamiątka, jak zresztą większa część dzieł sztuki, które pan tu widzisz, to upominki od pacjentów, uczniów i t. p. Tę, o którą pan pyta, ofiarowali mi asystenci na pamiątkę stotysięcznego chorego w mej klinice.

— Doprowadził porofesor do stu tysięcy?

— W r. 1884; obecnie przekroczyłem już połowę drugiej setki tysięcy.

Rozmowę przerwał obiad „w małem kółku": do stołu zasiadło osób piętnaście, towarzystwo wyłącznie polskie, bo i profesorowa Gałęzowska, córka sławnego Tamberlika, zdobyła sobie prawo zaliczania się do towarzystwa polskiego, nauczywszy się po polsku tak dobrze, że językiem naszym włada zupełnie poprawnie. (Nauka języka polskiego dzieci państwa Gałęzowskich -- dwóch synów i dwie młodsze córeczki, odbywa się pod kierunkiem pana Wickiego, prof. szkoły Batignolskiej).

* * *

Przy czarnej kawie, trzech gwiazdkach Marteia i cygarze, które znalazłem zupełnie w stylu reszty.

— A teraz, szanowny profesorze — odezwałem się — przypominam panu obietnicę: opowiadanie o Persji.

— Jestem gotów, rozpocznij pan swą operację — zawołał profesor Gałęzowski wesoło.

— Kiedy wezwano pana do Teheranu?

— Jeszcze przed czterema laty. Ale podróż moja naonczas rozbiła się o różne trudności, formalności paszportowe i t. p., nie mogłem jechać drogą, którą sobie obrałem, więc nie pojechałem. Obecnie, skutkiem osobistej interwencji szacha, trudności usunięto, uzyskałem nawet paszport dyplomatyczny.

— Dzięki swym stosunkom?

— Przypuszczam odparł dr. Gałęzowski z uśmiechem — że w razie potrzeby znalazłbym jakie takie poparcie, choćby niektórych pacjentów, jak pani Carnot matka, p. Challemel-Lacour prezes senatu, lub paru członków rodziny p. Casimir-Perera. Ale obeszło się bez tak wielkich dzwonów i w marcu wyruszyłem z całą rodziną w drogę. Od Odesy towarzyszyła mi tylko żona i syn najstarszy. Zatrzymaliśmy się dłużej w Odesie, potem w Batum, Baku...

— Dla wypoczynku?

— Mnie osobiście wypoczynkiem tego nazwać trudno. To musisz już pan wziąć w nawi[illegible]łej podróży, ile miałem fizycznie cz[illegible]patrywać chorych. Od najwyższych dygnitarzy począwszy, wszędzie cisnęło się pacjentów bez liku, nawet na morzu i z powrotem, poreperować musiałem oczy kapinom statku, a dyrektor Towarzystwa żeglugi, któremu zrobić nie mogłem operacji na poczekaniu, zawitał dzisiaj do mnie w Paryżu. Szczególniej w Persji natłok chorych był niedoopisania, ciężkie operacje trzeba było nieraz na kolanie robić. Mam przynajmniej to zadowolenie, że tam podróż moja nie pozostanie bez dobrych skutków: wczoraj otrzymałem list ten (może pan przeczytać) od perskiego ministra, z prośbą o przysłanie mu jednego z mych asystentów, który według mych wskazówek, urządzić ma w Teheranie klinikę i objąć jej kierownictwo; wybór mój padł na pewnego naszego rodaka. Prócz tego przyjął rząd perski mój plan, by do okolic, pozbawionych okulistów, wysyłać kosztem rządu corocznie ludzi fachowych dla niesienia pomocy i dawania wskazówek miejscowym lekarzom.

— Jakże zaprezentowała się profesorowi Azja? Kontrast musiał być rażący, gdy opuścił pan granice naszej Europy i znalazł się pośród azjatyckiej dziczy.

— Azja cofała się długo przedemną. W warunkach, w jakich odbywaliśmy tę drogę, jadąc koleją z wszelkiemi wygodami, zatrzymując się w hotelach, urządzonych po europejsku, długo nie mieliśmy wrażenia, żeśmy opuścili już Europę. Jeszcze w Baku (gdzie doświadczyłem wielkiej uprzejmości ze strony tamtejszego urzędnika celnego, niejakiego hr. Krasickiego), siadając na statek, zdumiałem z jakim urządzony komfortem. Obydwa zresztą statki i „Aleksander III", którym płynęliśmy do Persji i „Korniłow", którymeśmy powracali, nie ustępują pod tym względem w niczem statkom francuskim. Nawet w granicach Persji nie mogłem się jakiś czas doczekać prawdziwej Azji. Przypływamy do Euzeli na statku pojawia się na me spotkanie wysłany przez szacha jen. Mirza-Mahmed Khan i dr Amanola Khan, witają mnie imieniem swego władcy i oświadczają, że w Reschcie przygotować

kazał gubernator, brat szacha, pałac na me przyjęcie z wszelkiem europejskim komfortem, a jen. Mirza, z eskortą 60 ludzi, z powozami, mułami wierzchowcami i t. d., oczekuje mych rozkazów, by odprowadzić mię do Teharanu. Trzeba panu bowiem wiedzieć, że przed wyjazdem dano mi do wyboru albo sumę 25,000fr. na koszta podróży przez terytorjum perskie, i radzićbym sobie musiał własnym przemysłem, albo urządzenie całej mej podróży kosztem i zachodem rządu perskiego. Wolałem oczywiście złożyć te kłopoty na barki urzędników szacha i nie pożałowałem mej decyzji: doktor angielski, powołany trzy miesiące przedemną, obrał 25,000 fr. i ledwie dojechał wśród największych niewygód i trudów, wydawszy całą prawie sumę; ja nie miałem żadnego kłopotu i wszędzie zastawałem noclegi bez zarzutu, a gdziekolwiek wypadł odpoczynek, czy w górach, czy stepie oczekiwał nas czysto zastawiony stół ze śniadaniem lub obiadem, przyrządzony przez kucharza szacha zupełnie po europejsku, z francuskiemi winami i t. p., jakby na paryzkich bulwarach.

— Z Reschtu puściliście się państwo natychmiast w dalszą drogę?

— Zabawiliśmy tam dni parę, nie korzystając z gościnności gubernatora (którego przez czas ten leczyłem), bo konsulem angielskim jest tam pan Churchill, z którego rodziną łączą mą żonę serdeczne stosunki.

— Jakie wrażenie zrobiła na profesora Persja?

— Nader korzystne. Rescht sam, to miasto portowe, choć wielkie statki dopływają tylko do Euzeli. I tam i podczas całej mej podróży, zetknięcie z ludnością miejscową utwierdziło mię w przekonaniu, że to naród pracowity, przemyślny, bardzo łatwo przystępny dla cywilizacji i przyswajający sobie jej zdobycze. Wrażenie to uczynili mi już dawniej uczniowie z Persji których miałem w Paryżu. Byle dać im komunikacje i warunki rozwoju, nie wątpię, że kraj ten rozwinie się szybko.

— Wyruszając z Reschtu zapuściliście się państwo w stepy?

— Nie jechaliśmy najwyborniejszą szosą! wszak mówiłem panu, że Azja cofała się przedemną. Siadamy do powozów, eskorta dosiada koni i całą karawaną ruszamy szosą taką, jak z Paryża do Wersalu.

— I długo ciągnie się ta szosa?

— Przez półtora dnia bez przerwy. Dowiedziałem się potem, że wybudowali ją anglicy i przerzynać miała całą Persję równolegle z linią kolejową, ale inny wiatr zawiał z Teheranu, zabroniono anglikom budowy i szosy i kolei, a nowe roboty jeszcze nie rozpoczęte.

— A jak skończyła się szosa?

— Skończyło się wszystko. Ni szosy, ni drogi, ni ścieżki; znaleźliśmy się u podnóża gór wysiąść trzeba było powozów, syn mój dosiadł arabczyka z ufarbowanym na czerwono ogonem, na znak, że pochodzi ze stajni szacha, a my wsiedliśmy do oryginalnego wehikułu: na mule po obu bokach silnego tego stworzenia przytwierdzono dwie lektyki: wygodne fotele osłonięte firankami, w których rozgościliśmy się na dni trzy, poczem muł z nami zwolna piąć się począł po górach, ostrożnie stąpając nad przepaściami. Nie jest to sposób podróżowania najwygodniejszy, z przyjemnością powitaliśmy potem w Karwin oczekujące nas powozy; ale widok był pyszny, klimat południowy, wegetacja zdumiewająca bujna, gorąco dokuczało wprawdzie nieco, ale podróżowaliśmy w godzinach rannych i wieczorem, ruch muła stosunkowo niebardzo męczący i z foteli naszych podziwiać mogliśmy wspaniałą panoramę, lub oddawać się lekturze. „Nota bene", wie pan, co czytałem, spinając się od Mendżil do Patchenard ku szczytom i spuszczając ku Aha-Baba? „Kraj", tak „Kraj" w Kijowie kupiliśmy parę ostatnich numerów.

— Wypadków nie mieliście państwo żadnych?

— Były drobne, jakby urządzone przez ową agencję wymysłu Daudeta w „Tartarin sur les Alpes", by dać poznać turystom azjatyckie okropności, nie wyrządzając im zbytniej przykrości. Mogło to wprawdzie skończyć się groźniej, mieliśmy i napad rozbójników, którzy dwa kufry uprowadzili w łupie z zapasowemi paltotami i t. p., i poturbowali nieco jednego z eskorty; simum groźny simum wystąpił też na nasze spotkanie, strasząc nas widokiem ruchomej góry piasku, niesionej huragauem: w powietrzu cisza, wiatru nie czuć, widzi się tylko, jak zwolna nadchodzi, gdy się zbliży zniszczy wszysko, co napotka, obali i zasypie. Zatrzymał się przed górami, w które schroniliśmy się jeszcze na czas i inną poszedł drogą.

— A państwo do Teheranu?

— Staneliśmy tam po czterech dniach podróży. U władcy persów doznałem przyjęcia tak uprzejmego, wprost serdecznego, jakiego oczekiwać nie mogłem. Bawiłem tam dni ośm, zapraszany co dzień do pałacu wraz z żoną, dla której polecił szach otworzyć bramy swojego seraju. Przy sposobności wyleczyłem i szacha i jedną z jego żon, z dolegliwości ocznych. Byliśmy tam przedmiotem szczerej gościnności i tak współubiegał się i dwór i ministrowie w uprzyjemnianiu nam pobytu, że pozostało nam bardzo miłe wspomnienie. Sam szach, który wielkie okazywał mi zaufanie i wierzył, że syna uleczę, mimo mego oporu, dodał na drogę do Ispahanu do naszego konwoju jeszcze eskortę 12 konnych pod wodzą pułkownika.

— Podróż powozami do Ispahanu trwała długo?

— Jedenaście dni.

Nie chcę pana trudzić prośbą o opis długiej tej wyprawy, skoro jednak dochodzimy do jej kresu, poproszę o jedno wyjaśnienie. Nie jestem głęboko uczony w sto unkach perskich, pamiętam jednak, że niektóre angielskie dzienniki przypisywały podróży pańskiej doniosłość polityczną, ślepota wykluczałaby od korony następcę trona Zelle-Sułtana, człowieka z wykształceniem europejskiem, sympatjami dla cywilizacji zachodniej, na korzyść brata, któremu przypisy-

wano wprost przeciwne zalety i sympatje.

Jako lekarz nie troszczyłbym się zgoła o stronę polityczną tej kwestji. Powiem panu tyle: jeśli podróż moja do Persji umożliwiła ZelleSułtanowi wstąpienie z czasem na tron, cieszyć się tem więcej, muszę szczęśliwym przebiegiem kuracji. Poznałem Zelle-Sułtana bliżej, spędziłem z nim dni szesnaście i nabrałem przekonania, że to człowiek wielkich zdolności, wysoce wykształcony, nadzwyczaj sympatyczny, a sprężystości swej dał dowody, administrując wzorowo pięcioma południowemi prowincjami.

— Jak odbyło się pierwsze pańskie spotkanie z dostojnym pacjentem?

— Zelle-Sułtan wysłał naprzeciwko nas wojsko i z honorami wojskowemi i muzyką na czele wjechaliśmy pośród tłumów ludności o 6 z rana do Ispahanu. Już o 8 musiałem być u następcy tronu, który pragnął mię przyjąć, nim zobaczę się z lekarzem-anglikiem, leczącym go już od trzech miesięcy. Przyjął mię grzecznie, ale zimno i zażądał, bym przystąpił natychmiast do konsultacji, stawiając pytania, na które odpowiadał jasno i dokładnie, żadnych niedając jednak objaśnień, o które nie pytałem. Pożegnanie było mniej ceremonjalne: rzucił mi się na szyję, gdym odjeżdżał, wyleczywszy go całkowicie.

— W przeciągu?

— Szesnastu dni.

— Na jaką chorobę cierpiał następca tronu?

— Zadużo pan żądasz. Na wszystko odpowiadam panu najchętniej, ale pozwoli pan, że opis tej choroby i kuracji ogłoszę pierwej sam. Powiem panu tyle, że choroba to niezmiernie ciekawa, choroba nerwowa z pozorami glaukomy.

— Szach musiał być również uszczęśliwiony tym rezultatem?

— Przyjął mię w Teheranie z oznakami wielkiej wdzięczności, obdarzył wielką wstęgą „Lwa i Słońca".

— Poczem powróciliście państwo tą samą drogą, znów powozami na mułach. Podróż odbyła się w tych samych warunkach?

— Z tą tylko różnicą, że wieść o uleczeniu syna szacha rozeszła się już po całej Persji i ściągała wszędzie po drodze tem większe tłumy z powitaniem i prośbą porad.

— Pierwszy to zapewne raz w życiu odbywał profesor kilkudniową taką podróż końmi?

— Pierwszy raz. Ale prawda, nie; nie był to raz pierwszy — odparł dr. Gałęzowski, uśmiechnął się jakoś dziwnie, zamyślił chwilę, poczem — dawne to dzieje — począł. W Niemirowie skończyłem szkoły ze złotym medalem, rozgłos paryzki stryja Seweryna rozgrzewał młodzieńczą wyobraźnię, chciałem lekarzem zostać, jak on i sławnym jak on. Środki bardzo były skromne, 100 rs. na rok otrzymywałem z domu i ze stu rublami w kieszeni siadłem na wózek pocztowy i puściłem się w drogę do Petersburga... Widzi pan, odbywałem już raz podróż taką kilkudniową... prawda, że w innych warunkach.

— Niech profesor dokończy historji. Doktorem Gałęzowskim być nie sztuka zostać doktorem Gałęzowskim sztuka. Jakie profesora początki?

— Pięć lat ciężkiej pracy w Petersburgu i ciężkich warunków, poczem otrzymałem stopień mój za rozprawę o oftalmoskopie i złoty medal. Następnie puściłem się w r. 1859 do Paryża, do stryja, który przyjął mię serdecznie i kierował pierwszemi memi krokami. Rozpocząłem pracę na nowo i w paryzkim uniwersytecie pozyskałem stopień doktora medycyny, dzieląc czas swój między teoretyczne studja a praktykę w klinice pod kierunkiem słynnego Desmarres, profesora mego i przyjaciela. Oftalmoskopowi mego wynalazku, pozwalającemu zajrzeć do wnętrza oka, zawdzięczam pierwszy swój rozgłos. W r. 1867 otworzyłem swą klinikę, która z roku na rok coraz większą cieszyła się wziętością. W roku wojny zorganizowałem ambulans w kościele Genevraye i niosłem pomoc ranionym na polu bitwy pod Champigny.

— Czy prawdziwą jest historja zapoznania się profesora z pańską żoną, jak mnie ją opowiadano? Słynny śpiewak, Tamberlik, zwrócił się podobno do pana o pomoc, gdy piękna i młoda córka jego wzrok utraciła?

— Zupełnie dobrze pana poinformowano: było to w marcu r. 1872, w dwa miesiące później pacjentka moja przejrzała, a od października tegoż roku mam szczęście nazywać ją panią Gałęzowską. To cała moja historja; po za tem biografię moją streścić można w trzech słowach: praca, praca i praca.

„Kraj".

Z Uhlanda.

Ja niebem nie nazwę twych oczu,
Ust z różą nie zrównam w zapale,
Twych piersi w muślinów przezroczu
W mgłach lilją nie nazwę zuchwale.

Bo gdzież są czarowne te kraje,
Gdzież róża tak cudne ma wonie?
Gdzie lilje wpatrzone w ruczaje,
Blask taki włożyły na skronie?

Gdzie błękit, co wciąż się nie chmurzy,
Rozpięty nad kwiaty wysoko,
Jak z nad tych lilijek i róży
Patrzące błękitne twe oko?...